

Rozdział 1

Hamburg w ogniu

Sciana ognia była wysoka na 2 tysiące metrów. Z ogłuszającym hukiem parła przez miasto, pożerając wszystko, co napotykała na swej drodze. Kamienice, kościoły, muzea, szkoły, szpitale, sierocińce, parki, samochody. Zwierzęta. I ludzi.

Tej nocy nie było ucieczki przed śmiercią. Temperatury były tak ekstremalne, że topiło się szkło i gotował się asfalt. Ogniowa wichura wyrывała drzewa z korzeniami, porywała ludzi i ciskała nimi o ziemię jak szmacianymi lalkami.

Co kilka sekund rozlegały się ogłuszające eksplozje. Na głowy biegnących po ulicach, przerażonych ludzi lały się łatwopalne chemikalia. Ekspłodowały potężne bomby burzące. Domy z przeciągłym jękiem waliły się na ziemię, zasypując chodniki i uciekających mieszkańców tysiącami ton gruzów.

Miasto gotowało się od gryzącego, duszącego dymu. W powietrzu wirowały snopy iskier i płaty spalonego papieru. Oszałali z przerażenia ludzie nieludzko krzyczeli, konając w niewyobrażalnych męczarniach. Czerń, czerwień i jaskrawy pomarańcz. Prawdziwe inferno. Tak w nocy z 27 na 28 lipca 1943 roku wyglądał Hamburg zaatakowany przez brytyjskie bombowce.

Tego bombardowania nie da się opisać słowami. Nawet dzisiaj – wspominała Fredy Borck, która w 1943 roku miała jedenaście lat. – Wszędzie wokół nas waliły się bomby z hukiem kolosalnych, rozdzierających bębni w uszach, eksplozji. Nad nami, wokół nas. Wszędzie. Słyszeliśmy wycie kolejnych nadlatujących bomb. Na zewnątrz musiało rozgrywać się prawdziwe piekło. Robiło się coraz gorzej. Nagle ściany piwnicy zaczęły się chwiać i walić. Zza ścian dochodziły jakieś nieludzkie wycia i jęki. Wrzeszczeliśmy razem z nimi, oszaleli z przerażenia. Klękaliśmy, kuliliśmy się, chowaliśmy głowy między kolanami, by zakryć uszy.

Większość ludzi na pierwszy dźwięk syren alarmowych zbiegła do piwnic i prowizorycznych schronów. Teraz te straszliwie przepętnione podziemne kryjówki zamieniły się w miejsca masowej kaźni. Jak to ujął niemiecki pisarz Jörg Friedrich – w wielkie krematoria. Ogień dostawał się do środka i obłąkani ze strachu mieszkańcy tratowali się, gryząc i kopiąc. W zwierzęcej panice próbowali uniknąć płomieni. Ale one były bezlitosne. Ludzie zamieniali się w żywe pochodnie.

Drugą przyczyną śmierci w piwnicach było zmiżdżenie lub zasypanie. Gdy budynek walił się z łoskotem na ziemię, gruzy zgniatały na miazgę ukrywających się na dole ludzi. Tych, którzy cudem, w zakamarkach, pod belkami i innymi elementami konstrukcji, przeżyli zawalenie, czekało powolne konanie w ciemnościach... Bez wody, jedzenia umierali w całkowitej samotności wśród trupów sąsiadów i bliskich.

Inni ukryci pod ziemią dusili się od toksycznych oparów, dymów i gazów, które nieubłaganie przenikały przez wszystkie szczeliny. Z innych piwnic szalejące pożary wysysały całe powietrze, błyskawicznie odbierając życie. Tych, którzy się tam schronili, można uznać za „szczęśliwców”, bo umarli, nie cierpiąc.

Wielu uznało, że jedynym ratunkiem jest ucieczka. Że za wszelką cenę muszą się wydostać na powierzchnię. Doprowadzeni do ostateczności w samym środku dywanowego bombardowania wybiegali więc z piwnic i schronów. Prosto w szalejący ogniowy tajfun. Pod grad bomb burzących i zapalających. Nad miasto co kilka sekund nadlatywał bo-

wiem kolejny bombowiec i dorzucał swój śmiercionośny ładunek do buzującego 6 tysięcy metrów niżej piekielnego ognia.

Dla ludzi, którzy znaleźli się na ulicy, był to potworny wstrząs. W ułamku sekundy z mroku piwnicy dostawali się w żar oślepiającego światła, w epicentrum śmiercionośnego żywiołu. Temperatura powietrza sięgała kilkuset stopni. Wytworzony przez burzę ogniową wiatr dosłownie zwał z nóg. Jedynym wyzwoleniem była śmierć. Z reguły przychodziła natychmiastowo.

Relacje ocalałych z Hamburga opublikował brytyjski historyk Keith Lowe w książce *Inferno. The Devastation of Hamburg*. Jest to jedna z najbardziej wstrząsających książek, jakie czytałem. Opowieści hamburczyków mrozą krew w żyłach. Nawet u czytelnika nawykłego do drastycznych opisów ludobójstw, masakr i zbrodni wojennych, w które obfitował paskudny wiek XX.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, widok, jaki ujrzeliśmy, był niczym uderzenie obuchem – wspominał Hans Jedlicka. – Dokoła widziałem tylko płomienie. Cała dzielnica się paliła! Burza nas porwała. Deptaliśmy zwęglone ludzkie ciała. To było jak we śnie. Widziałem i słyszałem wszystko krystalicznie czysto, ale nie czułem bólu. Przebijaliśmy się przez burzę ogniową metr po metrze. Ubranie mojej mamy zaczęło płonąć. Gasilem je gołymi rękami.

To często pojawiający się motyw. Od ekstremalnego gorąca najpierw zapalały się ludzkie włosy, potem ubrania, a w końcu skóra. Nawet ci, którym jakimś cudem udało się ująć z życiem – uciec na przedmieścia, schronić na otwartej przestrzeni lub zanurkować w kanale – doznali przerażających rozległych poparzeń. Głowy, twarze, ręce, plecy.

Ludzie ci zamienili się w monstra, a ich dalsze życie – na ogół krótkie – naznaczone było potwornym cierpieniem. Dotyczy to również małych dzieci, wśród których śmierć zebrała wyjątkowo duże żniwo.

Woda, która wydawała się zbawieniem, czasami okazywała się śmiertelną pułapką. Do części kanałów wyciekły bowiem tony paliwa ze zbombardowanych i zatopionych statków stojących w hamburskim

porcie. Ludzie, którzy schronili się w kanałach, nagle zdali sobie sprawę, że stoją w gęstej łatwopalnej substancji. Z reguły była to ostatnia myśl w ich życiu. Wystarczyła bowiem jedna iskra, żeby kanał stanął w ogniu.

Wszelobeczne gazy, żar i niesamowity blask powodowały, że ludzie ślepli. W chmurze wirujących iskier, popiołów i odłamków dochodziło do perforacji gałki ocznej, uszkodzenia siatkówki. A gdy człowiek tracił wzrok, był zgubiony. Nie mógł już sam wydostać się z burzy ogniowej. Mógł tylko usiąść na ulicy i czekać na śmierć.

Ludzie, na których padł płonący biały fosfor, wskakiwali do wody, licząc na to, że zgaszą trawiące ich płomienie. Niestety, wynurzywszy się, z przerażeniem odkrywali, że w kontakcie z powietrzem fosfor znów zajmuje się ogniem.

Wszędzie wokół nas ludzie wybiegali z płonących budynków – wspominał inny ocalały. – Na niektórych ubrania już płonęły, na innych zapalały się od iskier, koszmarnego gorąca i fosforu. Raz po raz widzieliśmy płonących ludzi, którzy biegli przed siebie i po chwili padali na ziemię. Zobaczyłem mojego szwagra. Zawołałem go. Zwrócił się do mnie. Miał spuchniętą całą twarz, odniósł ciężkie poparzenia. Ubranie płonęło na nim jasnym światłem. Upadł na stos całkowicie spalonych ciał. Nagle zaczęła płonąć głowa mojej żony. Zapaliły jej się włosy. Wodą z wiadra udało mi się zgasić płomienie.

– Nie mogę dalej biec! – krzyczała. – Moje stopy są spalone! Moje dłonie!

Ja też czułem potworny ból poparzeń. Zacząłem ślepnąć. Widziałem jeszcze płonących ludzi z płonącymi dziećmi na rękach. Mijaliśmy góry spopielonych trupów. W jednym miejscu leżała duża rodzina, z której została tylko niewielka ilość jakiejś smolistej substancji...

Wolf Biermann – znany niemiecki pisarz i poeta, który przeżył piekło Hamburga jako dziecko – uciekał z matką Schwabenstrasse.

Widziałem całe dachy latające w powietrzu – wspominał. – To było jak na filmie. Jak w science fiction. Ale to była prawda. Zobaczyłem dwie

kobiety, które uwięzły w gotującej się nawierzchni ulicy. Wyciągnęły nogi z butów, ale to nie był dobry pomysł, bo musiały postawić stopy we wrzącym asfalcie. Przewróciły się i już nie wstały. Jak muchy w roztopionym wosku świecy.

Służby ratownicze nie miały najmniejszych szans na powstrzymanie żywiołu. Skala katastrofy była apokaliptyczna. Płonęły ogromne połacie miasta. Burza ogniowa obejmowała kolejne kwartały, domy i ulice. Pożary co chwila wybuchały w nowych miejscach.

W efekcie strażacy, którzy na początku nalotu rzucili się na ratunek cywilom, wkrótce sami musieli toczyć desperacką walkę o własne życie. Jeden z nich, Ludwig Fraupel, porzucił wóz strażacki, który stanął w ogniu. Fraupel ocalał lej po bombie wypełniony wodą z pękniętej kanalizacji. Zanurkował w lepkiej cieczy i dzięki temu przeżył najgorsze.

Na ulicy zobaczyłem wypalony tramwaj – wspominał. – Okna stopiły się od gorąca. W środku, jedno na drugim, leżały nagie ciała. Ich ubrania obróciły się w popiół. Ludzie próbowali się w tym tramwaju ukryć przed burzą ognia. Z kolei na Eiffestrasse toczyli dramatyczną walkę o przetrwanie. Tonęli we wrzącym asfalcie i próbowali podeprzeć się rękami. Klęczeli. Umierali, wrzeszcząc z przerażenia i bólu. Nie mogłem im w żaden sposób pomóc.

Skalą piekła na ulicach Hamburga zszokowani byli również lotnicy, którzy nadlatywali nad miasto, aby okładać je kolejnymi tonami bomb. Jeden z nich, Colin Harrison z australijskiej 467. eskadry, opowiadał później, że znalezienie celu tej nocy nie nastroczało żadnego problemu.

Nie potrzebowaliśmy nawigacji – mówił. – Widzieliśmy Hamburg już znad Morza Północnego. Po prostu lecieliśmy ku światłu. Z góry wyglądało to piekielnie. Płonące cele z reguły nie wyglądają dobrze, ale ten był wyjątkowo przerażający.

Załogi bombowców przelatujących z rykiem silników nad płoną-
cym Hamburgiem czuły w swoich kabinach bijący z dołu żar i opary.
Czuły woń konającego miasta, słodkawy swąd pieczonego ludzkiego
mięsa.

Dymy wznosiły się na 30 tysięcy stóp – wspominał Bill McCrea z 57. eska-
dry. – Pod nami był jeden wielki wulkan. Zatrważający widok. Wszystko
tam bulgotało, naprawdę – zupełnie jak w wulkanie. Co chwila słyszeli-
śmy huk i widzieliśmy błysk eksplozji kolejnych bomb. Aparaty fotogra-
ficzne w bombowcach robiły zdjęcia celów, ale tej nocy było to bez sensu.
Na ziemi nie było widać żadnych szczegółów. Tylko jedno gigantyczne
morze ognia.

W samym środku tego kipiącego wulkanu znajdowały się dziesiąt-
ki tysięcy ludzi. Burza ogniowa ustała nad ranem – gdy płomień nie
miały już czego trawić. Choć miasto w wielu miejscach jeszcze płonęło,
żywiół powoli ustępował. Hamburgczykom, którzy przetrwali tę upior-
ną noc, ukazał się widok wręcz apokaliptyczny. Wielkie europejskie
miasto, w którym spędzili życie, miasto o ponadtysiącletniej historii,
zostało starte z powierzchni ziemi.

Całe połacie miasta zamieniły się w pustynię gruzów i prochów.
W innych miejscach stały jedynie fasady domów. Panował półmrok –
nad miastem wisiała szara, wysoka na siedem i pół kilometra chmura
dymu w kształcie grzyba.

Ocalali, szarzy od pyłu, w zwęglonych resztkach ubrań, wyglądali
jak upiory. Na pokierszowanych głowach zakrzepła krew. Wielu było
opuchniętych od ciężkich poparzeń, pozbawionych włosów, brwi i rzęs.
Z nieprzytomnymi oczami, w szoku. Część wlokła się w stronę przed-
mieść, inni bezradnie rozgrzebywali gruzy w poszukiwaniu resztek
dobytku i ciał bliskich.

Najbardziej rozdzierający widok przedstawiały matki. Oszalałe
z rozpaczy, biegały po ulicach, szukając zaginionych w alianckim na-
locie dzieci. Krzyczały, nawoływały, wyły... Ale nikt im nie odpo-
wiał.

Kiedy otworzyliśmy drzwi schronu, po drugiej stronie zobaczyliśmy cia-
ła – wspominała Ruth Schramm. – Leżały w podwójnym rzędzie długim
na 10 metrów. Były całe poczerwiałe.

Z wyjść i korytarzy prowadzących do schronów wyciągano szczepione
ze sobą ludzkie ciała – czasami nawet pięćdziesiąt. Ludzie ci w czasie
nalotu próbowali jednocześnie uciec przez wąskie przejścia. Przejścia
zatykały się i wszyscy umierali. W kolejnych dniach strażacy mieli
dużo kłopotów z rozdzieleniem trupów, które tworzyły zbitą, twar-
dą masę.

Najbardziej przerażający widok – relacjonował z kolei Herbert Wulff –
stanowili ludzie leżący na ziemi całkowicie nadzy. Nie można już by-
ło rozpoznać, czy to mężczyźni, czy kobiety. Całe ich ciała pokrywa-
ła centymetrowa skorupa poparzeń. Sprawiali wrażenie martwych, ale
wciąż dawali oznaki gasnącego życia. Rzęzili gardłowo, nieznacznie ru-
szali rękami. Ten wstrząsający obraz będzie mnie prześladował do koń-
ca życia.

Ludzkie szczątki były dosłownie wszędzie. Na ulicach, w zachowa-
nych schronach, parkach, wypalonych samochodach. Ich stan zachowa-
nia był bardzo różny. Niektórzy ludzie zostali całkowicie spopieleni,
po prostu zniknęli. Z innych pozostały czarne, spalone korpusy. Dorośli
ludzie kurczyli się do rozmiarów niemowląt. Na niektórych ludzkich
skorupach błyskały jeszcze zielonkawe ogniki utleniającego się białego
fosforu.

Inne ciała zachowały się dobrze. Ci ludzie zostali zabici nie przez
płomień, ale przez falę uderzeniową lub się udusili. Leżeli teraz na-
puchnięci, nadzy, w groteskowych pozach.

Przysliśmy na skrzyżowanie – wspominała Traute Koch. – Miałam na
rękach siostrzyczkę i pomagałam mamie wspinać się na ruiny. Nagle
zobaczyłam wszędzie porzucane manekiny, jak z zakładu krawiec-
kiego.

– Mamo – powiedziałam – na tej ulicy nie mieszkali żadni krawcy...
 Skąd wzięły się te wszystkie manekiny?
 Mama złapała mnie za rękę.
 – Idź dalej. Nie patrz na to. Idź. Idź.

Dla służb ratowniczych, które dzień po nalocie przystąpiły do akcji, najtrudniejszym zadaniem było odgruzowywanie zasypanych piwnic. Żmudne prace trwały często wiele dni. Strażacy i żołnierze znajdowali pod ziemią dziesiątki, setki ciał. Twarze trupów miały przerażający wyraz. Część zaczęła się już rozkładać, odór w piwnicach był nie do wytrzymania.

Na ocalałych największe wrażenie robiły ciała dzieci. Spalonych w objęciach matek, zmiażdżonych pod gruzami, rozerwanych przez odłamki bomb.

Kobiety i dzieci były tak zwęglone, że nie dało się ich rozpoznać – relacjonowała Anne-Lies Schmidt. – Ci, którzy umarli z braku tlenu, byli zwęgleni tylko w części. Z pękniętych czaszek wypływały mózgi, a spod żeber wnętrzości. Jaką straszną śmiercią musieli umrzeć ci ludzie! Małe dzieci leżały na chodnikach jak smażone węgorze. Nawet teraz było widać, jak bardzo cierpiały. Miały wyciągnięte do przodu rączki, jakby chciały się zasłonić przed strasliwym gorącem.

Friedrich Reck zapamiętał kobietę z Hamburga, która opuściła miasto po nalocie i na jednej ze stacji próbowała wsiąść do pociągu do Bawarii. Na peron upadła jej walizka, z której posypały się rzeczy. Zabawki, bielizna, zestaw do manicure'u i „upieczone ciało dziecka, skurczone jak mumia, które na wpół obłąkana matka wiozła ze sobą jako relikwii życia kilka dni temu odeszłego do przeszłości”.

Nie był to odosobniony przypadek. Uchodźcy z Hamburga rzeczywiście ciągnęli szczątki swoich bliskich w wózkach dziecięcych, pakunkach, wiadrach, miednicach i walizkach. Keith Lowe w swojej książce przytacza opis jeszcze jednej podobnej sceny, której świadkiem był Ernst-Günther Haberland.

Otworzył walizki – wspominał Haberland. – W większej miał coś, co przypominało spalony kikut drzewa. W drugiej dwa mniejsze przedmioty, które wyglądały mniej więcej tak samo. To była jego żona i dzieci. Ich ciała rozpuściły się w fosforze, ale on nie mógł ich porzucić.

W strasliwej burzy ogniowej, którą wywołały trzy alianckie naloty dywanowe na Hamburg w dniach 25–28 lipca 1943 roku, zginęło co najmniej 45 tysięcy ludzi. Jest to liczba szokująca. Ponad dwa razy wyższa niż liczba ofiar zbrodni katyńskiej. Kolejne dziesiątki tysięcy doznało koszmarnych obrażeń i zostało okaleczonych na całe życie. Blisko milion hamburczyków straciło dach nad głową.

Podana przez Keitha Lowe'a statystyka przechodzi ludzkie wyobrażenie. Brytyjskie (i w mniejszej mierze amerykańskie) bomby zniszczyły w Hamburgu:

40 385 budynków mieszkalnych;

275 tysięcy mieszkań;

24 szpitale;

277 szkół;

58 kościołów;

77 centrów kultury;

zoo, w którym zwierzęta spłonęły żywcem razem z opiekunami.

Ponadto 109 471 domów uległo poważnym uszkodzeniom.

Tylko niewielką część z tych obiektów można by uznać za cele wojskowe: zakłady przemysłowe, magazyny, mosty, budynki należące do Wehrmachtu. Zresztą to nie one były celem alianckich nalotów. Były nim dzielnice mieszkalne. Cywile.

Brytyjczykom chodziło o eksterminowanie, zgładzenie jak największej liczby ludzi. I sterroryzowanie pozostałych przy życiu. Nie przypadkiem tę serię ataków powietrznych na Hamburg nazwano operacją „Gomora”. Aby zrozumieć, czym inspirowali się Brytyjczycy, wystarczy zajrzeć do Księgi Rodzaju:

Abraham, wstawszy rano, udał się na to miejsce, na którym przedtem stał przed Panem. I gdy spojrzął w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar

dokoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal. (Rdz, 19,28)

Wspomniany Jörg Friedrich w książce *Požoga* pisał:

Hamburg był piecem, w którym spłonęło 40 do 50 tysięcy osób. 7 tysięcy dzieci i młodzieży zginęło, dziesiątki tysięcy bezpowrotnie utraciło rodziców. W kulminacyjnym punkcie pożaru fala gorąca za jednym zamachem pochłaniała domy od dachów aż po parter. Niczym gigantyczna pompa ogniowa szkwał wysysał z piwnic domów resztki tlenu. W ciągu sześciu godzin pożogi 2 miliardy ton świeżego powietrza pognały w górę siedmiokilometrowym kominem powietrznym. Prędkość wiatru dochodziła do 79 metrów na sekundę. Dziesięć dni stygły masy gorących zgliszcz, nim ekipy ratownicze mogły przystąpić do zbierania ciał uduszonych i zwęglonych zwłok.

Seria nalotów na Hamburg z lipca 1943 roku była największym bombardowaniem w dotychczasowej historii świata. Brytyjczycy zastosowali wówczas nową metodę przeciwdziałania namierzaniu radarowemu. Nazwana „Window”, polegała na wyrzuceniu z samolotów mnóstwa pasków folii aluminiowej, które zakłóciły pracę radarów. W efekcie zarówno artyleria przeciwlotnicza, jak i myśliwce Luftwaffe nie mogły skutecznie bronić miasta przed bombowcami. Hamburg został skazany na śmierć.

W każdym z nalotów wzięło udział od 700 do 800 bombowców. Zrzuciły one na miasto 9 tysięcy ton bomb. Późniejsze śledztwo wykazało, że na każdy kilometr kwadratowy spadło około 10 tysięcy ładunków zapalających.

Agonia Hamburga była jednym z epizodów kampanii bombardowania niemieckich miast zrealizowanej z metodycznością, bezwzględnością i okrucieństwem przez aliantów. Kampanii, która była jednym z największych i najbardziej szokujących aktów ludobójstwa w dziejach rasy ludzkiej.

Rozdział 2

Rzeźnik z generalskimi szlifami

Wojna powietrzna podczas ostatniego światowego konfliktu miała dwa oblicza.

Pierwsze to podniebne walki myśliwców. Szalone akrobacje, zawrotne tempo, przesywające powietrze serie z karabinów maszynowych. Rozbłysk światła, pikujący ku ziemi samolot, który zostawia za sobą smugę czarnego dymu. Nad nim – rozwinięta czasza spadochronu, łagodnie niosąca przegranego. Zwycięzca zataczający triumfalne koło i machający do niego skrzydłami.

Człowiek przeciwko człowiekowi. Maszyna przeciwko maszynie. Wyrównane szanse. Pojedyńki myśliwców wygrywał szybszy, odważniejszy, obdarzony większym refleksem. A może po prostu ten, któremu tego dnia sprzyjało szczęście. Wspomnienia brytyjskich, niemieckich, polskich, japońskich lub amerykańskich asów lotniczych czyta się dziś z zapartym tchem i szacunkiem wobec tych dzielnych mężczyzn. Ludzi, którzy stawali oko w oko z nieprzyjacielem. Oko w oko ze śmiercią.

Drugim obliczem wojny powietrznej były bombardowania dywanowe miast. O ile walki myśliwców można porównać do szlacheckich średniowiecznych pojedynków rycerskich, o tyle bombardowania dywa-

nowe nasuwają skojarzenie z krwawą robotą rzeźników w przemyśle uboju. Miarowo walących młotem w głowy oszalałych z przerażenia zwierząt. Ofiarami bombardowań dywanowych nie były jednak zwierzęta, ale ludzie.

Według powojennych szacunków Federalnego Urzędu Statystycznego w Wiesbaden brytyjskie i amerykańskie bomby zabiły 593 tysięcy niemieckich cywilów. Miliony zostały ranne i straciły dach nad głową. Alianckie lotnictwo zrównało z ziemią niemal wszystkie duże miasta Niemiec.

Było to zaskakujące, bo tuż po wybuchu wojny Brytyjczycy wyraźnie zapowiadali, że nie będą atakować z powietrza celów cywilnych. Że brzydzą się takimi barbarzyńskimi metodami, które rzemiosło wojenne sprowadzają do masowej eksterminacji i terroryzowania niewinnych kobiet i dzieci.

Dwa dni przed wypowiedzeniem wojny Niemcom premier Neville Chamberlain uroczyście zapowiedział w parlamencie, że brytyjskie bombowce nie będą brały na cel cywilów – ograniczą się wyłącznie do obiektów wojskowych. Była to odpowiedź na dramatyczny apel, który w tej sprawie do obu stron konfliktu wystosował prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt.

I rzeczywiście, dowództwo Bomber Command RAF otrzymało w 1939 roku od rządu Jego Królewskiej Mości surowy zakaz atakowania celów w głębi terytorium wroga, bez wątpienia bowiem spowodowałyby to straty wśród ludności cywilnej.

Wstrzeźliwość ta wynikała z oporów moralnych Chamberlaina, ale i z pobudek pragmatycznych. Brytyjczycy bali się, że ataki na niemieckie miasta pociągną za sobą odwet i bomby posypią się także na Londyn, Liverpool oraz Manchester. W pierwszej fazie II wojny światowej Luftwaffe była jeszcze przecież znacznie potężniejsza niż Royal Air Force.

Sytuacja zmieniła się w maju 1940 roku, gdy Chamberlaina na stanowisku szefa rządu zastąpił Winston Churchill. Polityk dziewiętnastowieczny ustąpił miejsca politykowi dwudziestowiecznemu, bezwzględniemu przywódcy gotowemu na prowadzenie wojny totalnej.

Na śmierć i życie. Wojny, której celem było wyniszczenie i rzucenie na kolana przeciwnika. Przetrącenie mu kręgosłupa.

Ta zmiana gospodarza rezydencji przy Downing Street 10 zbiegła się z niemieckim bombardowaniem Rotterdamu, do którego doszło 14 maja 1940 roku. Zginęło w nim ponad 900 osób, zdruzgotana została piękna rotterdamaska starówka. Całe kwartały domów i ulic zamieniły się w gruzowisko.

Prowadzone przez Luftwaffe mordercze bombardowania Warszawy w 1939 roku zbyto w Londynie obojętnym wzruszeniem ramion, tym razem jednak na Wyspach zapanowało oburzenie. To nie był kraj położony „na krańcach cywilizowanego świata”, którego los mało kogo w Wielkiej Brytanii obchodził. Holandia należała do Europy Zachodniej!

Warto wspomnieć, że niemieckie bomby spadły na Rotterdam na skutek fatalnego splotu okoliczności. Niemiecki generał postawił holenderskiemu dowództwu ultimatum, w którym domagał się natychmiastowej kapitulacji. W przeciwnym razie – zagroził – Luftwaffe zbombarduje Rotterdam. W ostatniej chwili przedłużył jednak termin ultimatum.

Niestety do dowódcy wyznaczonej do tego zadania grupy heinkli 111 nie dotarł rozkaz odwołujący nalot. Bombowce, poderwane przez Göringa, były już nad Rotterdamem i zwinęły anteny łączności dalekiego zasięgu. Lotnicy – z powodu złej pogody i dymów pożarów – nie dostrzeli czerwonych flar wystrzelonych w powietrze przez niemieckie siły lądowe w celu powstrzymania nalotu. Bomby zostały zrzucone.

Okoliczności ataku na Rotterdam oczywiście nie miały znaczenia. Do nalotu doszło, zginęli ludzie. Brytyjczycy potępili atak na holenderskich cywili, nazywając go aktem „rozszałatego barbarzyństwa”. Mieli oczywiście rację. Już następnego dnia Churchill podjął jednak decyzję o ataku na cele wojskowe w głębi terytorium Niemiec, po wschodniej stronie Renu.

Problem polegał tym, że wokół celów wojskowych mieszkali cywile. Nie było więc wątpiwości, że część bomb spadnie i na nich. Brytyjcy

przywódcy i wysocy rangą dowódcy dali jednak przyzwolenie na tak zwany *collateral damage*, „uboczne” zniszczenia obiektów cywilnych. To otworzyło puszkę Pandory.

Lata 1940–1941 były okresem nakręcającej się spirali brytyjskich i niemieckich nalotów. W nocy z 24 na 25 sierpnia 1940 roku grupa bombowców Luftwaffe lecących nad rafinerię nad Tamizą przypadkowo zrzuciła bomby na doki w Londynie. Choć wyrządziły one niewielkie straty, wściekły Churchill już następnej nocy wysłał bombowce RAF na Berlin.

To z kolei doprowadziło do szału Hitlera, który – jak łatwo się domyślić – zadzwonił do Göringa i zażądał dokonania natychmiastowego odwetu za tę „bezprzykładną brytyjską zbrodnię wojenną”. Obie strony przerzucały się oskarżeniami o to, kto pierwszy zaatakował cele nie-wojskowe, i obie zapewniały, że działają w odwecie. Wojna powietrzna eskalowała.

W początkowym okresie znacznie większe spustoszenie Luftwaffe czyniła w Wielkiej Brytanii niż RAF na terenie III Rzeszy. Wynikało to z większego potencjału i z większych możliwości, jakie mieli Niemcy po opanowaniu północnej Francji i państw Beneluksu. Apogeum bombardowań to oczywiście niesławny *Blitz*.

W nalotach na brytyjskie miasta od września 1940 do maja 1941 roku życie straciło ponad 30 tysięcy cywilów. W samym Londynie uszkodzona bombami została ponad połowa budynków. Mieszkańcy stolicy imperium – a z nimi polscy uchodźcy – przechodzili piekło.

Symbolem tej zbrodniczej kampanii Luftwaffe stał się jednak nalot na Coventry, przeprowadzony w nocy z 14 na 15 listopada 1940 roku. Olbrzymia część tego przemysłowego miasta została zmieciona z powierzchni ziemi. Zginęło blisko 600 cywilów. Gazety na całym świecie obieły wstrząsające zdjęcia wypalanej katedry. Stały się one symbolem niemieckiego okrucieństwa.

Brytyjczycy początkowo byli zbyt słabi, by uderzyć na Niemcy z podobną mocą, ale sytuacja zaczęła się zmieniać w drugiej połowie 1941 roku. Brytyjska produkcja zbrojeniowa się rozkręcała – z taśm produkcyjnych schodziły tysiące samolotów – a Luftwaffe musiała

zaangażować większą część swoich sił na froncie wschodnim. 22 czerwca rozpoczęła się bowiem wojna z bolszewikami.

Decydującym krokiem na drodze do dalszej radykalizacji brytyjskich przywódców okazał się jednak raport Daniela M. Bensusana-Butta – cywilnego pracownika sekretariatu Gabinetu Wojennego. Urzędnik ten, z wykształcenia ekonomista, szczegółowo zweryfikował skutki dotychczasowych nalotów RAF. Przeanalizował wszystkie raporty brytyjskich pilotów i porównał je ze zdjęciami lotniczymi zbombardowanych celów.

Wnioski zawarte w jego raporcie, który trafił na biurko Churchilla w sierpniu 1941 roku, były szokujące i druzgoczące dla Bomber Command. Okazało się, że brytyjskie bombowce wysyłane nad Europę straszliwie pudłowały. Po prostu nie nadawały się do punktowych, precyzyjnych nalotów na cele wojskowe i przemysłowe.

Anthony C. Grayling w znakomitej książce *Among the Dead Cities* przytoczył ustalenia Butta. Okazało się, że przy znakomitej pogodzie tylko dwie piąte załóg bombowców potrafiło znaleźć wyznaczone cele. Przy pogodzie pochmurnej – tylko jedna dziesiąta. Jeżeli zaś lot odbywał się w bezksiężycową noc – jedna piętnasta.

Jakby tego było mało, spośród wszystkich bombowców, którym udało się jakimś cudem przylecieć nad właściwe miejsce, tylko jedna trzecia zdołała zrzucić bomby... w promieniu ośmiu kilometrów od celów.

Oznaczało to, że trafienie w konkretny obiekt – okręt, magazyn z paliwem, fabrykę, wodociągi, bazę U-Bootów czy tory kolejowe – było równie prawdopodobne jak wygranie na loterii. Zdecydowana większość bomb spadała na pola, lasy, do rzek i morza. Nie wyrządzała Niemcom najmniejszych szkód.

Nietrudno się domyślić, że raport Butta wywołał wściekłość w Gabinetie Wojennym. Okazało się bowiem, że kolosalne środki wydawane na produkcję bombowców i bomb są po prostu wyrzucane w błoto. Do tego należało dodać zawrotne ilości paliwa spalanego przez samoloty. Utratę załóg i maszyn zestrzeliwanych przez myśliwce Luftwaffe i działa niemieckiej obrony przeciwlotniczej.

Dokonując nalotów na Niemcy, Brytyjczycy – jak ujął to Jörg Friedrich – większą krzywdę wyrządzali sobie niż nieprzyjacielowi.

W tej sytuacji Brytyjczycy mieli dwie możliwości. Mogli uznać bombowce za broń bezużyteczną, machnąć na nie ręką i skupić się na produkcji myśliwców, czołgów i okrętów. Czekać, aż naukowcy opracują precyzyjniejsze sposoby naprowadzania na cel. Byłoby to jednak przyznaniem się do porażki. A tego nikt nie lubi.

Wybrali więc drugą możliwość: znaleźć w Niemczech cele tak olbrzymie, żeby nawet brytyjscy lotnicy mogli w nie trafić. Dużego wyboru oczywiście nie było. Celami takimi były tylko miasta.

Już 29 września 1941 roku szef sztabu lotnictwa, marszałek Charles Portal, przedstawił Churchillowi plan totalnego zniszczenia killkudzieści największych niemieckich aglomeracji za pomocą nalotów kolosalnej floty 4 tysięcy bombowców. W ten sposób, zdaniem Portal, w pół roku brytyjskie lotnictwo miało pokonać III Rzeszę.

Churchill plan zaaprobował. A Portal nakazał Bomber Command, aby zmieniło priorytety i skupiło się na „zniszczeniu morale ludności cywilnej, w szczególności robotników zakładów przemysłowych”. Co mieli na myśli twórcy tego rozkazu? W jaki sposób zamierzali „zniszczyć morale” Niemców? Prosto. Przez zabicie jak największej ich liczby. Zburzenie ich domów, szkół, szpitali i zakładów pracy.

Istnieje coś, co powstrzyma i rzuci na kolana Hitlera – mówił Churchill swojemu ministrowi produkcji wojennej lordowi Beaverbrookowi. – To atak eksterminujący bombowców naszego kraju przeciwko ojczyźnie nazizmu.

Owa kampania eksterminacyjna ruszyła pełną parą na początku 1942 roku. Co noc nad Niemcy nadlatywały potężne armady halifaxów, stirlingów, lancasterów, wellingtonów i innych bombowców. Teraz nie było już mowy o pudłowaniu i marnotrawieniu bomb, gdyż załogom nie wskazywano do zniszczenia żadnych celów „punktowych”. Ich zadaniem było wpakować swój śmiertciony ładunek w jeden olbrzymi cel, jaki stanowiło miasto. W co konkretnie trafi bomba na ziemi, było już obojętne.

Efekt był piorunujący i szokujący. Czegoś takiego świat jeszcze nie

widział. Całe Niemcy pokryły się łunami pożarów. Ofiary cywilne szły w setki i tysiące. A potem w dziesiątki tysięcy...

W nocy z 28 na 29 marca 1943 roku piloci Bomber Command dokonali nalotu dywanowego na stary hanzeatycki port – Lubekę. Spłonęła drewniana starówka wraz z bezcennymi zabytkami kultury. Śmierć poniosło 320 osób. 30 maja bomby posypały się na Kolonię i zabiły 480 osób. W czerwcu pod nóż poszły Essen i Brema. „Zdjęliśmy rękawiczki” – ogłosił w brytyjskim parlamencie Winston Churchill.

Dlaczego tak się stało? Oprócz przytoczonych wyżej powodów natury technicznej warto wskazać na kwestie strategiczne, a raczej polityczne. Otóż w latach 1941–1943 cały ciężar zmagania z Niemcami na kontynencie europejskim ponosił Związek Sowiecki. To Armia Czerwona wykrwawiała się w wielkich bitwach lądowych z Wehrmachtem i przyjmowała kolejne potężne ciosy dywizji pancernych Hitlera.

Stalin – jak wynika z jego korespondencji z Churchillem i Rooseveltem – coraz bardziej natarczywie i z coraz większą niecierpliwością domagał się, aby alianci zachodni otworzyli drugi front. Oni zaś grali na zwłokę i czekali, aż III Rzesza odpowiednio się wykrwawi. Anglia, jak zwykle, dążyła do wygrania wojny, przelewając krew żołnierzy swoich sojuszników. Doprowadzało to jednak do scysji i tarć ze Stalinem.

W tej sytuacji jedynym ekwiwalentem dla inwazji kontynentalnej stały się strategiczne naloty bombowe na niemieckie miasta. Ilekroć Stalin wyrzucał Churchillowi, że Wielka Brytania stoi z założonymi rękami, brytyjski premier wyliczał kolejne niemieckie miasta, które zostały obrócone w gruzy przez RAF.

– Zniszczymy każde mieszkanie w prawie każdym niemieckim mieście – obiecywał Churchill.

– To by było coś! – odpowiedział Stalin.

Podczas innej rozmowy Churchill zapewniał go, że Brytyjczycy nie będą mieli dla niemieckich cywilów żadnej litości. Dzięki takim obietnicom udawało się jakoś udobruchać sowieckiego dyktatora.

Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego Wielka Brytania zmieniła o 180 stopni swoje szlachetne stanowisko z pierwszej fazy wojny

i przystąpiła do terrorystycznych bombardowań niemieckich miast na masową skalę – można więc wskazać na trzy zasadnicze przyczyny:

1. chęć odwetu za bombardowania Londynu, Plymouth i Coventry;
2. słaba skuteczność RAF w bombardowaniach celów wojskowych;
3. chęć przypodobania się Sowietom.

Człowiekiem, który miał zrealizować diabelski plan, który narodził się w Londynie, był Arthur Harris, urodzony w Rodezji oficer lotnictwa, który 22 lutego 1942 roku został mianowany dowódcą Bomber Command. Za młodu żołnierz, awanturnik i łowca przygód, teraz przeistoczył się w zabójcę zza biurka.

Bez mrugnięcia okiem co noc wysyłał nad Rzeszę eskadry bombowców, wyznaczwszy im kolejne cele. Czyli kolejne niemieckie miasta pełne ludności cywilnej, które miały zostać eksterminowane. Harris szczyił się tym, że wielkie miasta traktuje „bardziej jak podpałkę niż miejsce zamieszkania ludzi”.

Lubił mówić o sobie jako o twardzieli i człowieku czynu. Okazywał pogardę „mięczakom”, którzy wskazywali na niemoralny wymiar bombardowań. Gdy w brytyjskim sztabie pojawił się pomysł, aby zrzucać na niemieckie miasta tylko bomby zapalające, Harris stanowczo zaprotestował. Domagał się utrzymania dotychczasowej taktyki, czyli łączenia bomb zapalających i burzących.

Ludzie mogą uciec przed pożarami – pisał do Ministerstwa Lotnictwa. – Ofiary nalotu przy użyciu samych środków zapalających będą zbyt małe. Chcemy połączyć horror ognia z murami walącymi się na Szwabów. Chcemy zabić Szwabów, przerazić Szwabów. Do tego potrzebujemy również bomb burzących.

Zatrważającą sylwetkę Harrisa nakreślił w książce *Bomber Command* brytyjski historyk Max Hastings. Oficer ten jawi się w niej jako skłonny do wybuchów wściekłości despota i gbur. Człowiek nieinteresujący się kulturą, bez poczucia humoru i charakterystycznej dla brytyjskich wyższych sfer towarzyskiej ogłady. Oficerów Marynarki Wojennej nie nawidził chyba bardziej niż Niemców.

Arthur Harris unikał towarzystwa, nie brał urlopów. Uprawianie sportu uważał za głupotę i marnowanie czasu. Całymi godzinami obsesyjnie wpatrywał się za to w lotnicze zdjęcia zbombardowanych miast. Zdaje się, że było to jego największą rozrywką i przyjemnością życiową.

Współpracownicy Harrisa, z którymi rozmawiał Max Hastings, zgodnie podkreślali, że w siedzibie dowództwa Bomber Command w High Wycombe panowała toksyczna, ponura atmosfera. Dowódca miał skłonność do sztorcowania podwładnych. Nie wzbudzał u nich szacunku, zarządzał więc nimi za pomocą strachu.

Bomber Command – wspominał ksiądz John Collins, kapelan wojskowy – był zapewne najbardziej pustoszącym duszę, najbardziej depresyjnym miejscem, w którym służyłem. Obecne tam zło jaskrawo kontrastowało z pięknem otaczającej sztab przyrody. To tu jednak planowane były masowe bombardowania niemieckich miast.

Chorobliwie ambitny, nieznoszący krytyki Harris uwierzył, że sam wygra wojnę z Hitlerem. Gdy stało się jasne, że to mrzonka, nie przyjął tego do wiadomości. I kontynuował swój krwawy proceder z jeszcze większym uporem. Gdy udało mu się zgromadzić do nalotu na Kolonię tysiąc bombowców, marzył o przeprowadzeniu nalotu siłami 2 tysięcy.

Harris powtarzał, że jedyną restrykcją prawa międzynarodowego, którą uważa za zobowiązującą, jest konwencja z czasów wojny prusko-francuskiej zakazująca zrzucania bomb z balonów. Bomber Command – mówił cynicznie – przestrzegało tego porozumienia skrupulatnie przez całą II wojnę światową...

W efekcie przyłgnął do niego pseudonim „Butcher”. Arthur „Rzeźnik” Harris. Do dziś obrońcy praw człowieka regularnie oblewają jego londyński pomnik czerwoną farbą.

Popularna anegdota mówi zaś o tym, że pewnego dnia, gdy Harris nad ranem wracał z siedziby Bomber Command do domu, został zatrzymany przez policję.

– Sir, znacznie przekroczył pan dozwoloną prędkość – powiedział policjant. – Mógłby pan kogoś zabić.

Harris uśmiechnął się pod nosem.

– Szanowny panie, ja co noc zabijam dziesiątki tysięcy ludzi.

Józef Stalin miał Jeżowa. Adolf Hitler miał Himmlera. A Winston Churchill miał Harrisa.

Premier nie przepadał za „nieokrzesanym Rodezyjczykiem”, ale uważał, że jest on idealnym człowiekiem do mokrej roboty.

Przez całą noc dzwonił telefon ustawiony obok łóżka Harrisa, przekazywano mu raporty na temat nocnych operacji – pisał Max Hastings. – Harris miał zbawienną umiejętność budzenia się, słuchania i natychmiastowego zapadania w sen. Zakrawa na ironię, że gdy załogi bombowców przebijały się przez ciemności nad Niemcami, kiedy miasta nie spały, oczekując z najeżonymi lufami dział na nadciągającą burzę ognia i eksplozji, dowódca Bomber Command leżał w swoim łóżku, pośród lasów Buckinghamshire, pogrążony we śnie bez snów.

Harris, jak zapewniał w powojennych wywiadach, nie miał sobie nic do zarzucenia. I do końca życia spał spokojnie.

Rozdział 3

Podpalacze wielkich miast

Rozmawiałem niedawno ze znajomym o alianckich nalotach dywanowych na niemieckie miasta. Oniemiał, gdy powiedziałem mu o skali tych bombardowań i kolosalnej liczbie ich ofiar. Był święcie przekonany, że II wojna światowa była walką dobra ze złem: złych „nazistów” z dobrymi aliantami. Pierwsi walczyli metodami zbrodniczymi, drudzy – rycerskimi.

Gdy ów znajomy doszedł do siebie po wstrząsie moralnym i poznawczym, wyraził zdziwienie, że Brytyjczycy dokonali dzieła zniszczenia tak prymitywnymi środkami.

– Niewiarygodne – mówił. – Angole po prostu zrzucali na oślep tony bomb na dzielnice mieszkaniowe. Coś takiego w XX wieku! W czasach postępu i zaawansowania technicznego.

– Nic bardziej mylnego – odpowiedziałem. – W tej zbrodni była metoda.

Wbrew powszechnym wyobrażeniom ofensywa powietrzna aliantów przeciwko III Rzeszy nie miała nic wspólnego z furją olbrzyma, który w amoku okłada pałą wszystko, co napotyka na swojej drodze. Tak przedstawiała to na plakatach niemiecka propaganda. W rzeczywistości byłoby to sprzeczne z temperamentem „brytyjskich gentlemanów”.

Bombardowania były zaplanowanym w najdrobniejszych szczegółach procesem naukowym.

Najwybitniejsi brytyjscy profesorowie i specjaliści – fizycy, chemicy, matematycy, architekci, pirotechnicy, urbaniści, meteorolodzy i lekarze – pracowali nad tym, żeby alianckie bomby unicestwiały jak najwięcej ludzi. Żeby były jak najbardziej wydajne. Na przełomie 1942–1943 roku powstała w Wielkiej Brytanii nowa gałąź nauki: podpalanie wielkich miast.

Każdy nalot poprzedzała szczegółowa analiza zdjęć lotniczych celów. Mierzono bryły budynków, długość i szerokość ulic, a przede wszystkim rozpoznawano budulec, z którego wzniesiono domy. Chodziło o wyszukanie miejsc, w których znajdowało się najczęściej drewnianych konstrukcji i ciasnych, krętych uliczek – najczęściej były to pełne bezcennych zabytków średniowieczne starówki.

Następnie brytyjscy naukowcy obliczali, ile i jakich bomb należy zrzucić na dane miasto, żeby wywołać pożądany efekt – burzę ogniową. Decydujące było dobranie odpowiednich proporcji między bombami burzącymi, wypełnionymi kruszącym materiałem wybuchowym, a zapalającymi. Tych ostatnich była przytłaczająca większość. Bardzo ważna była także odpowiednia kolejność zrzutów. Każdy samolot – w zależności od ładunku – miał ściśle określone zadanie.

„Podział zadań” był następujący: bomby burzące miały nie tyle obrócić budynki w gruzy, ile przygotować je do podpalenia. W wyniku podmuchu i fali uderzeniowej potężnych eksplozji w skazanym na śmierć mieście wylatywały z framug drzwi i szyby z okien. Tworzyły się przeciągi i kanały powietrzne niezbędne do rozprzestrzeniania się płomieni.

Kolejnym zadaniem bomb burzących – słynnych blockbusterów, pieszczotliwie zwanych przez lotników *cookies* – było zdruzgotanie murów przeciwpożarowych i innych przeszkód, które mogłyby powstrzymać pożary. Miały one również zerwać dachy kamienic, szpitali, kościołów, sklepów i szkół. A przynajmniej porządnie je podziurawić.

Dopiero tak przygotowany cel był zasypywany gradem niewielkich, podłużnych bomb zapalających. Zrucano je w wiązkach i bombach

kasetowych, które uwalniały je w powietrzu. Te przypominające cygara obiekty wirowały jak szalone i spadały na olbrzymi teren. Samoloty podczas jednego nalotu mogły ich zrzucić dziesiątki, a nawet setki tysięcy.

Bomby zapalające wpadały do budynków przez zniszczone dachy. Następnie – przy zetknięciu z celem – rozpryskiwały na wszystkie strony łatwopalne materiały chemiczne. Termit, kauczuk, benzol, cynk, oleje, sztuczną żywicę, magnez i gumę. A czasami również biały fosfor. Zabójcze mieszanki miały galaretowatą konsystencję, która oblepiała wszystko w promieniu kilku–kilkudziesięciu metrów.

W efekcie to, co znajdowało się w budynkach – schody, meble, tapety, franki, ubrania, książki, gazety, zapasy jedzenia i węgla – po kilku sekundach stawało w płomieniach. Los ten spotykał również ludzi, którzy nie zdążyli zbiec do piwnicy. Oni ginęli pierwsi.

Kamienice zamieniały się w piece hutnicze. Ich zewnętrzne ściany stawały się wielkimi kominami, których paliwem było wszystko, co znajdowało się w środku. Co ludzie gromadzili latami. Od strychów, przez mieszkania i klatki schodowe, po piwnice. Płomienie strzelały na kilkaset metrów w niebo.

Gdy w dzielnicach takich pożarów szalało już sto, dwieście lub trzysta, łączyły się w jeden potężny żywioł. I w postaci burzy ogniowej, wysokiej na setki metrów ściany ognia, z hukiem przetaczały się przez miasto, pochłaniając kolejne osiedla i dzielnice.

To właśnie był efekt, który starali się wywołać brytyjscy naukowcy. Bombardierzy, którzy przylatywali nad Niemcy na pokładach lancasterów, pełnili jedynie funkcję podpalaczy. Na ziemi dzieła zniszczenia miał dokonać – znajdujący się poza wszelką kontrolą – ogień. Była to więc klęska żywiołowa wywołana przez człowieka. Przeciwko drugiemu człowiekowi.

Gdy pożary rozgorzały na dobre, z bombowców znowu sypały się bomby burzące. Tym razem miały wyrwać olbrzymie dziury w jezdniach i drogach dojazdowych do płonących części miasta. Chodziło o to, żeby uniemożliwić służbom ratunkowym – strażakom, wojsku, karetkom pogotowia – dotarcie do miejsc, które padły ofiarą nalotu.

Spadające na ulice, wbijające się głęboko pod asfalt specjalne bomby rozrywały wodociągi. Tak aby strażacy, nawet jeżeli jakimś cudem udałoby im się dotrzeć tam, gdzie spadły bomby, nie mieli czym gasić pożarów.

Szczytem perfidii były jednak bomby z opóźnionym zapłonem. Leżały one wśród gruzów i popiołów i wybuchały dopiero po pewnym czasie, zabijając strażaków, członków drużyn odgruzowujących, medyków i innych ludzi biorących udział w rozpaczliwej akcji ratunkowej.

Wszystko to miało na celu uniemożliwienie gaszenia pożarów. Dannie im wystarczającej ilości czasu, aby zamieniły się w burzę ogniową.

Już w trakcie nalotu – a także po jego zakończeniu – lotnicy robili zdjęcia zniszczonych celów. Aby je oświetlić, używano specjalnych bomb błyskowych. Zdjęcia te były następnie analizowane przez naukowców, którzy wyciągali wnioski z dokonanych nalotów – tak aby kolejne były jeszcze skuteczniejsze. Czyli jeszcze bardziej zabójcze.

Z czasem Amerykanie zaczęli nawet budować atrapy, miasta testowe, dzięki którym mieli nadzieję poprawić „wyniki”. Chodziło o znalezienie słabych punktów poszczególnych aglomeracji. Ustalenie, które miejsca bombardować, aby spustoszenia wśród mieszkańców i tkaniki miasta były jak największe.

Anglosasi starali się również ustalić, ile materiałów wybuchowych i chemicznych należy umieścić w bombie, aby wywołać największe obrażenia. Sprawdzali, jakie obrażenia wywołują odłamki. W tym celu – jak pisał David Irving – znany naukowiec profesor Solly Zuckerman przeprowadzał makabryczne eksperymenty na zwierzętach. Na przykład wystrzeliwał z ogromną prędkością metalowe kulki w łapki żywych królików.

Zuckerman detonował bomby wśród kozłów uwiązanych w głębokim wykopie. Jego zadaniem był ustalenie, jakie ciśnienie jest niezbędne do zabicia człowieka, jak potężna musi być fala uderzeniowa, żeby rozerwać płuca. Wyniki tych badań na niewiele się zdały, 70 procent ofiar nalotów dywanowych uduśiło się bowiem od toksycznych dymów. Jörg Friedrich nazwał to „zagazowaniem z powietrza”.

Jak podkreśla niemiecki pisarz, Brytyjczycy szybko odkryli, że miasto zdecydowanie łatwiej jest podpalić, niż zburzyć. Skalę spustoszeń, jakie osiągnano dzięki wywoływaniu burzy ogniowej, można osiągnąć tylko za pomocą bomby atomowej.

Jak widać, aby przeprowadzać bombardowania dywanowe na taką gigantyczną skalę, alianci zbudowali wielką maszynę powietrznej eksterminacji. Niektórzy naukowcy pracujący dla tej maszyny mieli zresztą wyrzuty sumienia. Tak jak później amerykańscy badacze zaangażowani w projekt „Manhattan”, ojcowie bomby atomowej.

Czułem się źle z powodu tego, co wiedziałem – przyznał wiele lat po wojnie brytyjski fizyk profesor Freeman Dyson. – Wielokrotnie zmagalem się z moralnym obowiązkiem, aby wybiec na ulicę i powiedzieć brytyjskiemu społeczeństwu, jakie rzeczy wyrabia się w jego imieniu. Ale nigdy nie zdobyłem się na taką odwagę. Do końca siedziałem w biurze i kalkulowałem, jak w najbardziej ekonomiczny sposób pozbawić życia kolejnych 100 tysięcy osób.

Metodą prób i błędów aliantom udało się opracować najbardziej efektywną procedurę nalotów. Najpierw nad cel, kierując się urządzeniami radiolokacyjnymi, nadlatywały tak zwane pathfindery – zwykle szybkie dwusilnikowe samoloty *Mosquito* – które dokonywały rozpoznania celu. Inaczej mówiąc: ich zadaniem było odnalezienie pogrążonego we śnie i ciemności miasta. Co nocą często było nie lada sztuką.

Następnie obszar nalotu był oznaczany zrzuconymi na ziemię jaskrawoczerwonymi flarami. Kierowano się przy tym punktami orientacyjnymi, za które służyły duże budynki – jak katedry czy szpitale – i inne charakterystyczne, widoczne z powietrza obiekty. W Dreźnie za taki punkt orientacyjny, który stał się potem centrum strefy śmierci, posłużył miejski stadion, kształtem wyraźnie odcinający się od reszty miasta.

Inna technika polegała na zrzuconiu na spadochronach wolno opadających zielonych rac. Ponieważ wypadały z nich kaskady płonącej magnezji, Niemcy ochrzcili je mianem bożonarodzeniowych choinek.

Flary nie wskazywały jednak oczywiście konkretnych celów, ale wyznaczały szeroki obszar, który miał zostać zbombardowany. Często wiatr znosił zresztą te „markery” z kursu i spadały one w innych miejscach, niż planowano. W wypadku wielkich aglomeracji nie miało to jednak większego znaczenia. Kilkaset metrów w tę czy w tamtą stronę, efekt był przecież ten sam: masowa śmierć i totalne zniszczenie.

Dopiero kilka chwil po oznaczeniu terenu – wszystko było zsynchronizowane i musiało działać jak w szwajcarskim zegarku – nad cel falami nadlatywały bombowce. Co kilka sekund na zaznaczony obszar z wizgiem spadały kolejne tony bomb burzących i zapalających. Miastem wstrząsał potężny huk, któremu towarzyszyły błyski eksplozji. Po nich pojawiały się ognie pożarów.

Nad całą złowieszczą procedurą czuwał krążący nad miastem w swojej maszynie „mistrz ceremonii” – brytyjski oficer odpowiedzialny za prawidłowe wykonanie zadania. Utrzymywał on łączność radiową z resztą pilotów RAF. Brytyjczycy zrzucali swoje bomby na zawołanie *Tally-ho!* – „Wyczha!” – jak myśliwi spuszczejący psy ze smyczy.

Według wielu pilotów pathfinderów w ostatnich sekundach poprzedzających nalot w powietrzu panował niesamowity, niemal metafizyczny nastrój. W dole widzieli olbrzymie, pogrążone w ciemności miasto. Między budynkami żarzyły się jaskrawoczerwone flary markujące. W mieście wyły syreny. Ludzie w panice zbiegali do schronów i piwnic. Piloci pathfinderów wymieniali lakoniczne uwagi przez trzeszczące interkomy. Każde ich słowo nagrywały miarowo kręcące się magnetofony.

Za kilka sekund miały nadlecieć obciążone bombami lancastery. Wielkie miasto wydawało ostatnie tchnienie. Niebawem miało się obrócić w morze ruin, stać się areną szalejącego ogniowego huraganu. Za chwilę miały zginąć tysiące ludzi. Spokój i cisza towarzyszące procedurze oznaczania celów miały ustąpić iście dantejskiemu piekłu...

Burze ogniowe to nie jedyne niszczycielskie żywioły, które wywoływali Brytyjczycy. W maju 1943 roku, w ramach operacji „Chastise”, bombowce RAF za pomocą beczkowatych skaczących bomb odbijających się od tafli wody zburzyły tamy w Zagłębiu Ruhry. W wywołanym przez nie potopie utonęły tysiące cywilów i dziesiątki tysięcy zwierząt.

Warto dodać, że obecnie takie akcje są surowo zabronione przez konwencje międzynarodowe.

Co ciekawe, Brytyjczycy podczas wojny pracowali również nad bronią biologiczną. Bombami wypełnionymi laseczkami wąglika. Pomysł zrzucenia ich na Niemcy wywoływał entuzjazm Winstona Churchilla... Na szczęście tego chorego pomysłu nie zrealizowano.

Brytyjski filozof Anthony Clifford Grayling na kartach *Among the Dead Cities* wskazał na swoistą zbrodnię w zbrodni. Nazwał ją „kulturobójstwem”. Razem z miastem Bomber Command unicestwiało bowiem biblioteki, galerie sztuki, teatry, archiwa, filharmonie, uniwersytety, szkoły. Bezценne obrazy, rzeźby i rękopisy.

Wskutek alianckich nalotów kultura niemiecka – i europejska – poniosła straty, których nigdy nie udało się już odrobić. Bombardowania dywanowe miały więc niejako „wyzerować” Niemcy. Pozbawić je nie tylko części obywateli, ale i tożsamości. Na gruzach starej niemieckiej cywilizacji miało po wojnie powstać coś zupełnie nowego.

W pierwszej fazie ofensywy bombowej straty ponoszone przez Brytyjczyków były olbrzymie. Lotnicy z bombowców mieli niewielkie szanse na przeżycie. Zgodnie z procedurami, aby odbyć służbę, musieli wykonać trzydzieści lotów bojowych nad terytorium przeciwnika. Sztuka ta udawała się jednak tylko co dziesiątemu. Reszta była zestrzeliwana przez niemieckie myśliwce lub działa obrony przeciwlotniczej.

Im dłużej jednak trwała wojna, tym bardziej szala przechylała się na stronę aliantów. Przewaga ich potencjału gospodarczego była miazdząca i potęga Luftwaffe została złamana. Alianci zdobyli całkowite panowanie w powietrzu. Niemcy stały się bezbronne. Przełomowy był rok 1944, gdy do akcji wkroczyła 8. Armia Powietrzna lotnictwa US Army. Od tej pory Amerykanie bombardowali Niemcy za dnia, a Brytyjczycy w nocy.

Mrowie amerykańskich mustangów i thunderboltów strąciło olbrzymią liczbę maszyn Luftwaffe. Wiele niemieckich myśliwców było uziemionych z braku paliwa i pilotów. Coraz mniej liczne, obsługiwane przez młodzież szkolną działa przeciwlotnicze, do których zresztą

brakowało amunicji, również nie mogły wyrządzić ciężkim bombowcom większych szkód.

Jednym z takich przymusowo zmobilizowanych „artylerzystów” był Joseph Ratzinger, przyszły papież Benedykt XVI. Wraz z innymi chłopcami w za dużych stalowych hełmach opadających na oczy musiał obserwować w poczuciu bezsilności, jak Amerykanie i Brytyjczycy zamieniają jego ojczyznę w pustynię.

Kolejne miasta obracały się w gruzy, grzebiąc tysiące swoich mieszkańców. Stuttgart, Brunzwik, Augsburg, Frankfurt, Norymberga, Mannheim, Hanower... jeszcze długo można by je wymieniać. Wkrótce zniszczone zostały niemal wszystkie niemieckie miasta powyżej 100 tysięcy mieszkańców znajdujące się w zasięgu alianckich bombowców.

Ofensywa powietrzna toczyła się jak kula śniegowa, przyjmując monstrualne rozmiary. Widać to doskonale, jeśli się porówna, ile ton bomb alianci w kolejnych latach zrzucali na Rzeszę. W książce *Among the Dead Cities* znalazło się następujące zestawienie:

W 1940 roku RAF zrzucił na Niemcy 5 tysięcy ton bomb.

W 1941 roku – 23 tysiące ton.

W 1942 – 37 tysięcy ton.

W 1943 – 180 tysięcy ton.

W 1944 – 474 tysiące ton.

W 1945 – 181 tysięcy ton (przez cztery miesiące!).

Mimo że zwierzchnicy Harrisa pod koniec wojny naciskali na niego, żeby się skupił na bombardowaniu celów wojskowych, on konsekwentnie, z uporem maniaka prowadził swoją wojnę przeciwko kobietom i dzieciom. De facto posuwając się niemal do niesubordynacji.

Według Maxa Hastingsa premier Winston Churchill powinien był wówczas natychmiast zwolnić Harrisa ze stanowiska. Nic takiego jednak się nie stało. Wystarczy napisać, że w ostatnich miesiącach wojny na cele związane z przemysłem naftowym spadło tylko 6 procent brytyjskich bomb! Całą wielką kampanię, która wywołała kryzys paliwowy w III Rzeszy, przeprowadzili Amerykanie.

Harris wyszukiwał na mapie Niemiec kolejne miasta, które do tej pory nie zostały zbombardowane – lub zostały zbombardowane „nie-

wystarczająco”. Gdy zaś takich celów brakowało, wysyłał lancastery nad dawno zburzone metropolie. Nadlatywały one nad opustoszałe morza gruzów i ścierały te gruzy na proch. „Teraz należy uderzyć w leżące w gruzach miasta – przekonywał Harris – w których ludzie chowają się jeszcze w piwnicach”.

Trudno nie odnieść wrażenia, że pod koniec wojny sytuacja wymknęła się już zupełnie spod kontroli. Bomby na Niemcy sypały się bez żadnego strategicznego sensu. Tak jakby dowódcy ofensywy powietrznej chcieli ustanowić jakiś ponury rekord. Zdążyć zburzyć jak najwięcej budynków i unicestwić jak najwięcej ludzi, zanim gwizdek zakończy mecz. Czyli nim skończy się wojna.

Był to sport dla samego sportu. Po wojnie alianckie komisje uznały Niemcy za kraj „przebombardowany” (*overbombed*). Z produkowanymi na masową skalę bombami trzeba było jednak coś zrobić. Nie mogły przecież zalegać w magazynach! Schodzące w ekspresowym tempie z taśm produkcyjnych bombowce nie mogły zaś beczynnie stać w hangarach. Podatnicy mogliby uznać, że ich pieniądze zostały zmarnowane.

Niemcy były na kolanach i Bomber Command wreszcie mogło sobie poużywać. Pokazać swoją rosnącą z każdym dniem potęgę.

Gwoli uczciwości należy natomiast przyznać, że Amerykanie – na europejskim teatrze działań – zachowywali się bardziej przyzwoicie od Brytyjczyków. Nie tylko latali za dnia, ale przede wszystkim skupiali się na bombardowaniu celów przemysłowych. Oczywiście w nalotach tych ginęło również wielu cywilów, ale dzielnice mieszkaniowe nie były bezpośrednim celem ataków United States Army Air Forces (USAAF).

Tak było chociażby w wypadku nalotów na Hamburg czy Szczecin. W miastach tych brytyjscy lotnicy bezlitośnie tłukli bombami w budynki mieszkalne. Ale Amerykanie starali się trafiać w cele przemysłowe i wojskowe. Zmieniło się to dopiero w ostatniej fazie wojny, gdy „latające fortece” B-17 – w asyście rojów myśliwców eskortowych *Mustang* – nadleciały nad Drezno i inne miasta Europy.

Plamą na honorze lotnictwa Stanów Zjednoczonych jest również nalot dokonany we Włoszech. Chodzi o zbombardowanie założonego przez Świętego Benedykta klasztoru na Monte Cassino, na który

15 lutego 1944 roku Amerykanie zrzucili blisko 1500 ton bomb burzących i zapalających. Nie zważając na rozpaczliwe apele Watykanu, który wskazywał na nieocenioną kulturalną, historyczną i sakralną wartość budowli oraz zgromadzonych w nich zbiorów.

Amerykanie zmiotli prastary klasztor z powierzchni ziemi, mimo że Niemcy, aby nie narażać go na atak, nie utworzyli na jego terenie żadnych stanowisk bojowych. Umocnili się jedynie na zboczach góry, na której wznosił się ten święty dla katolików, jeden z najpiękniejszych na świecie, klasztorów.

Na szczęście dwóm oficerom Wehrmachtu – podpułkownikowi Juliusowi Schległowi i kapitanowi Johannesowi Beckerowi – udało się przekonać mnichów do przewiezienia części klasztornych zbiorów w bezpieczne miejsce. Zostały one zapakowane w siedemset skrzyń i na stu niemieckich ciężarówkach przewieziono na neutralny teren Watykanu, między innymi do zamku Sant'Angelo. Obaj oficerowie mają we Włoszech ulice swojego imienia. Niestety nie mogli jednak ocalić przed Jankesami samego klasztoru.

Zburzenie Monte Cassino było ze strony Amerykanów nie tylko aktem powietrznego chuligaństwa, ale i głupotą. Gdy klasztor obrócił się w gruzy, ruiny obsadzili niemieccy spadochroniarze. Stanowiły one znakomitą pozycję obronną, o którą do maja 1944 roku rozbijały się kolejne alianckie szturmowe. Kosztowało to aliantów wiele ofiar. Na zboczach Cassino skrzął się straszliwie między innymi II Korpus generała Andersa, tracąc blisko tysiąc ludzi. Straty te byłyby bez wątpienia mniejsze, gdyby nie amerykański nalot.

Rozdział 4

Wyrok na Drezno

Gehenna, przez którą niemieccy cywile przeszli pod alianckimi bombami, miała koszmarny finał. Było nim dywanowe bombardowanie Drezna przez Anglików i Amerykanów w dniach 13–15 lutego 1945 roku. Jedną z najbardziej wstrząsających i bezsensownych zbrodni wojennych w dziejach świata.

O tej szokującej masakrze po raz pierwszy dowiedziałem się jako nastolatek, czytając *Sprawę pułkownika Miasojedowa* Józefa Mackiewicza, jedną z najwybitniejszych polskich powieści XX wieku. Mackiewicz na podstawie licznych relacji ocalałych z drezdeńskiego piekła stworzył niezwykle naturalistyczny, paradokumentalny opis nalotu na stolicę Saksonii.

Czytałem go wiele razy, ale za każdym razem wywołuje on wręcz piorunujące wrażenie. Porównać można go chyba tylko ze sporządzonym przez Mackiewicza opisem kaźni Żydów na podwileńskich Ponarach. Bezlitosnej masowej zbrodni dokonanej przez niemieckich oprawców z SS oraz ich litewskich pomocników z formacji Ypatingasis būrys.

Wróćmy jednak do Drezna i *Sprawy pułkownika Miasojedowa*. W lutym 1945 roku w mieście tym znalazł się jeden z głównych bohaterów